

# O własnych siłach?

(część druga)

Brak gwarancji zewnętrznego bezpieczeństwa Polski ze strony NATO lub choćby samych tylko Stanów Zjednoczonych, może wywierać przemożny wpływ na całokształt jej sytuacji, w tym także wewnętrznej. W polskim położeniu geopolitycznym sytuacja wokół jej granic musi nawet wywierać taki wpływ, gdyż trudno sobie wyobrazić, że kształtowanie się krajowej sceny politycznej będzie odbywać się w całkowitym oderwaniu od sytuacji zewnętrznej.

Innymi słowy, polska scena polityczna musi wcześniej czy później zdecydować się na jakąś orientację, na przykład neutralną, prozachodnią, czy prowschodnią, albo ściślej promoskiewską.

Co więcej, wybór odpowiedniej orientacji jest dziś bardziej konieczny, niż kiedykolwiek w polskiej historii. W przeszłości bowiem tzw. suwerenny model rozwoju był bardziej możliwy dla takiego kraju jak Polska, ale dziś musi on, niestety, ustąpić miejsca tzw. satelickiemu modelowi rozwoju.

Konkretnie mówiąc, Polska musi się "podczepić" pod jakiś kraj, czy grupę krajów, które pociągną ją w dalszym rozwoju.

Dlaczego jednak Polska musi się podczepiać pod kogoś, a nie może sama, własnymi siłami, nadal się rozwijać?

Otóż, Polska - z powodu swojej słabości naukowo-technicznej - nie może pomyślnie się rozwijać. Wydatki Polski na postęp naukowo-techniczny są trudne do uchwycenia, ale wahają się w granicach 0,5-1 miliarda dolarów rocznie, podczas gdy w Niemczech zbli-

a także dokonanie przełomu w ogólnie pojętym marketingu. Tak na przykład, w dzisiejszym handlu światowym występuje ok. czterdziestu tysięcy firm i banków, w tym setki firm-gigantów, które są silnie okopane na rynku i na wszelkich nowicjuszy spoglądają niechętnym okiem, jeśli wręcz nie wrogim. Wśród tych firm i banków obecność Polski jest tylko śladowa. Wejście więc na rynek światowy, zwłaszcza z wyrobami nie mających żadnych tradycji w polskim eksporcie, jest nie tylko bardzo trudne, ale także kosztowne. Łatwiejsze więc, przynajmniej teoretycznie, jest "podczepienie się" pod obce firmy i banki, które na rynku światowym mają silne przyczółki.

"Podczepianie się" jednakże ma też swoją cenę. Kapitał obcy, gdyż o niego tu chodzi, może mieć bowiem interesy rozbieżne z polskimi i wcale może nie być tu pomocnym, a przeciwnie - może podstawać przysłowiową nogę.

A propos kapitału obcego, to polskie doświadczenia z nim są raczej negatywne. Jeszcze w czasach rozbiorowych, poza zaborem niemieckim, kapitał obcy, w Kongresówce na przykład, wykazywał wyjątkową pazerność, o wiele większą niż w metropolii rosyjskiej. W Galicji natomiast posuwał się nawet do duszenia wcale nieźle rozwijających się przedsiębiorstw galicyjskich, jak np. przemysł naftowo-rafineryjny.

W Polsce przedwojennej też były z nim kłopoty. Przyплыw jego był niewielki, a ponadto więcej go z Polski wypłynęło niż napłynęło. Nie chciał on też, podobnie jak rodzimy kapitał prywatny, mieć

sygnały, że kapitał obcy chętnie zdusiłby polski przemysł zbrojeniowy, akurat zupełnie niezły.

W każdym razie, marsz o własnych siłach może być w najlepszym przypadku przysowiowym marszem o kulach, co z drugiej strony wcale nie oznacza że należy chwycić za każdą wyciągniętą do pomocy rękę. W ogóle zaś, to jeśli już Polska musi iść na "satelicki model" rozwojowy, a jest to nieuniknione, to rzecz jasna trzeba dokładnie wiedzieć pod kogo chce się ona podczepić. Odpowiedź wydaje się nie nastrożać trudności, że tym "kimś" powinien być Zachód. No, ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

Zatrzymajmy się na chwilę nad tą własną sprawą.

Otóż w pojęciu niemal każdego Polaka jego kraj ojczysty jest "krajem zachodnim", a teraz już bardziej niż kiedykolwiek.

Niestety, pogląd ten jest błędny i to z wielu powodów. Nie chodzi już nawet o to, że Polska jest zbyt słabo rozwinięta, żeby stać się Zachodem, albo że ma jeszcze szereg nieprzezwyciężonych tradycji, które na Zachodzie, nawet jeśli nie mówi się tego otwarcie, uważa się za "wschodnie", "niedemokratyczne" itp., itd.

Takim poważnym mankamentem jest na przykład bardzo szczególny profil polskiej sceny politycznej, a konkretnie brak otwarcia prozachodnich partii i ruchów politycznych. Rządząca obecnie koalicja SLD-PSL nie jest przecież żadną "orientacją prozachodnią", choć opowiada się za demokracją jak i gos-

Innymi słowy, siły niby antykomunistyczne i "antywschodnie" nie są jednakże wcale jednocześnie siłami prozachodnimi, a co najwyżej "czysto polskimi", co oznacza wiele i nic.

Co gorsza, również i Zachód, tzn. jego partie polityczne, nie wykazują większych chęci współpracy z tymi polskimi siłami politycznymi, które są lub mogłyby być, otwarcie prozachodnimi. Ba, zdarza się i tak, że polskie partie, które uważają się za chrześcijańsko-demokratyczne, mają trudności w stosunkach z ich zachodnimi odpowiednikami, gdyż też uważają je za "zbyt przykościelne"...

Ale też, gwoli ścisłości, tak właśnie zawsze bywało w Polsce. O tej przedrozbiorowej już nie mówmy, ale pod rozbiorami "prozachodniej orientacji" w Polsce nie było. Prawda, pod zaborem austriackim były głosy wzywające do unii z Wiedniem, ale nie były one dominujące, ani sam Wiedeń też tego nie chciał. Zresztą, Austrii nie można było utożsamiać z Zachodem jako takim, gdyż był on i jest szerszym pojęciem.

Pod zaborem niemieckim było nawet gorzej. Nawet socjaliści polscy w niemieckiej SPD zachowywali odrębność i za zachodnich Niemców ani innych "zachodniaków" nie uważali się.

Pod zaborem rosyjskim z kolei, o jakiejś "prozachodniej orientacji" już w ogóle nie było mowy. Jeszcze socjaliści i niedoszli komuniści, ze względu na swoją

Konkretnie mówiąc, Polska musi się "podczepić" pod jakiś kraj, czy grupę krajów, które pociągną ją w dalszym rozwoju.

Dlaczego jednak Polska musi się podczepić pod kogoś, a nie może sama, własnymi siłami, nadal się rozwijać?

Otóż Polska, choćby tylko z powodów wymogów stawianych przez rewolucję naukowo-techniczną - nie może pomyślnie się rozwijać. Wydatki Polski na postęp naukowo-techniczny są trudne do uchwycenia, ale wahają się w granicach 0,5-1 miliarda dolarów rocznie, podczas gdy w Niemczech zbliżają się one do 60 miliardów dolarów, a w USA już wkrótce osiągną 300 miliardów dolarów. Sama tylko korporacja IBM zbliża się do 20 miliardów dolarów w wydatkach na postęp naukowo-techniczny, ograniczony do jednej dziedziny tylko, a nie rozproszony po wielu jak w Polsce, ale i to okazuje się za mało.

Stąd też, nawet gdyby Polska zwielokrotniła swoje wydatki na omawiany cel, to i tak o własnych siłach nie wytrzyma morderczego wyścigu naukowo-technicznego. Ktoś musi ją wesprzeć pomocnym ramieniem, jeśli tylko znajdą się chętni dla takiego wsparcia.

Drugim i nie mniej ważnym powodem "podczepienia się" są wymogi stawiane przez handel światowy, zwłaszcza eksport.

Udział Polski w eksporcie światowym, w czasach przedwojennych i peerelowskich do 1980 r., wyniósł średnio jeden procent, co było stanowczo za mało jak na polskie potrzeby, ale dziś udział ten spadł do jednej trzeciej procenta! Co gorsza, przy polskiej strukturze eksportu, gdzie dominują paliwa, surowce, półprodukty, artykuły rolno-spożywcze i wyroby gotowe o dużej materiałochłonności i energochłonności, jak np. tkaniny, a nawet statki, jego opłacalność jest nie tylko niska, ale wręcz ujemna. W dodatku dalsze możliwości jego ekspansji wyczerpują się. Eksport natomiast wyrobów gotowych, zwłaszcza o wysokim stopniu przetworzenia, to przede wszystkim rozbudowa i modernizacja odpowiednich mocy wytwórczych,

czy w czasach rozbiorowych, poza zaborem niemieckim, kapitał obcy, w Kongresówce na przykład, wykazywał wyjątkową pazerność, o wiele większą niż w metropolii rosyjskiej. W Galicji natomiast posuwał się nawet do duszenia wcale nieźle rozwijających się w niektórych gałęziach produkcji, jak np. przemysłu naftowo-rafineryjnego.

W Polsce przedwojennej też były z nim kłopoty. Przypływ jego był niewielki, a ponadto więcej go z Polski wypłynęło niż napłynęło. Nie chciał on też, podobnie jak rodzimy kapitał prywatny, mimo nawet namów rządu, zabrać się do budowy przemysłu obronnego.

Potem, już w czasach PRL, kapitał obcy, z oczywistych względów, raczej omijał Polskę, albo co najwyżej angażował się w tzw. joint ventures, na skromną skalę i nie zawsze z pozytywnymi rezultatami.

A jak jest teraz? Ano, nie najlepiej. Płynnie on do Polski nie oczekiwana rzeką a tylko strużką, przeciętnie w stopniu ponad dziesięciokrotnie mniejszym niż np. do Hiszpanii, nie mówiąc już o Argentynie. Najgorsze jednak, że tylko średnio trzy procent tego kapitału angażuje się w produkcję eksportową, na której Polsce najbardziej zależy. Zresztą, nawet tam gdzie się angażuje, jak ma to miejsce z Fiatem, którego filia w Tychach ma rozwinięty eksport, to przedsiębiorstwo to wykazuje jednakże straty, a tym samym nie płaci skarbowi państwa podatków. Dodajmy przy okazji, że filia Fiata w Polsce zajęła niechlubne pierwsze miejsce w ub. roku w wielkości zarejestrowanych strat, bijąc pod tym względem nawet PKP, przedsiębiorstwo państwowe i tradycyjnie już deficytowe.

Niemniej jednak, Polska musi szukać okazji do "podczepiania się", gdyż innego wyjścia nie ma, ale też musi być bardzo ostrożna i patrzeć na ręce swoich obecnych jak i niedoszłych partnerów. Tak na przykład, kapitał obcy w Polsce ma wyraźną chęć na przechwycenie prywatyzowanej państwowej CPN, chcąc przy okazji zdusić krajowe rafinerie, które na całym świecie są jedną z najbardziej zyskowych operacji. Są też

stać się Zachodem, albo że ma jeszcze szereg nieprzewycięzonych tradycji, które na Zachodzie, nawet jeśli nie mówi się tego otwarcie, uważa się za "wschodnie", "niedemokratyczne" itp., itd.

Takim poważnym mankamentem jest na przykład bardzo szczególnie profil polskiej sceny politycznej, a konkretnie brak otwarcia prozachodnich partii i ruchów politycznych. Rządząca obecnie koalicja SLD-PSL nie jest przecież żadną "orientacją prozachodnią", choć opowiada się za demokracją jak i gospodarką rynkową, czyli zachodnim światopoglądem.

Ale która z sił politycznych jest w Polsce naprawdę prozachodnia?

Unia Wolności, do niedawna Unia Demokratyczna i Kongres Liberalno-Demokratyczny, była niby w niedalekiej przeszłości taką właśnie "prozachodnią siłą", choć co prawda specjalnie się z tym nie obnosiła. Za taką siłę uważał się też KLD, ale już go nie ma. UW zaś, partia w końcu kilkutyśięczna tylko, podzielona na szereg frakcji, gdzie lewicowa jest najsilniejszą, ma nie tylko słabe szanse na powrót do władzy, ale ma szanse na rozpad. A co z niej zostanie i jaką orientację polityczną te resztki obiorą - zobaczymy.

Konfederacja Polski Niepodległej, choć werbalnie antykomunistyczna i antywschodnia, żadną partią prozachodnią nie była i nie jest, a teraz rozlatuje się i kto wie co po niej pozostanie.

Porozumienie Centrum też nie można zaliczyć do żadnych "prozachodnich partii", pomijając już jej wewnętrzny kryzys, czy stan członkowski.

Jeszcze mniej za taką partią można uznać Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, nie mówiąc już o tym, że jego część zajęła nawet otwarcie nieprzychylnie stanowisko wobec Unii Europejskiej.

"Solidarność" z kolei nie jest przecież partią, a już najmniej prozachodnią. Podobnie ma się też sprawa z "Ruchem dla Rzeczypospolitej", tym od Olszewskiego i tym od Szeremietiewa, a to samo dotyczy też "Prawicy razem"...

chciał. Zresztą, Austrii nie można było utożsamiać z Zachodem jako takim, gdyż był on i jest szerszym pojęciem.

Pod zaborem niemieckim było nawet gorzej. Nawet socjaliści polscy w Niemczech SPD zachowywali odrębność i za znacznych Niemców ani innych "zachodniaków" nie uważali się.

Pod zaborem rosyjskim z kolei, o jakiejś prozachodniej orientacji już w ogóle nie było mowy. Jeszcze socjaliści i niedoszli komunisty, ze względu na swój internacjonalizm, byli swoiście "prozachodni", ale tylko w "klasowym kontekście".

Nie lepiej było z Polską przedwojenną. Prawie dwieście partii politycznych, z czego jedna trzecia reprezentowała mniejszości narodowe, miało wyraźnie "krajowy profil", rządo przejmując się światem zewnętrznym, pomijając oczywiście partię komunistyczną, ale ta była "prowschodnia", czyli prosowiecka.

Okres II wojny światowej nic nie zmienił w tym obrazie sytuacji. Partie i stronnictwa polityczne pod okupacją były nie tylko słabe, jako że dominowało podziemie wojskowe, ale były, ponadto typowo "krajowe", z wyjątkiem PPR, choć i ta była wtedy bardziej "krajową" niż internacjonalistyczną.

Na emigracji, na Zachodzie oczywiście, bo przecież nie na Wschodzie, też było nie lepiej. Cztery, a właściwie trzy partie i stronnictwa, które wchodziły do rządu, pomijając ich kanapowy charakter, nie tylko nie były prozachodnie, ale nie miały w Anglii, jako że o innych krajach trudno było nawet mówić, choćby swoich odpowiedników, poza PPS, która jako tako miała kontakt z Labour Party.

Po wojnie, rzecz jasna, teraz już w PFL, było jeszcze gorzej. Nawet mikołajczykowski PSL nie było partią otwarcie prozachodnią, a czasami też, musiało być antyzachodnią, choćby ze względu na stosunek mocarstw zachodnich do polskich Ziemi Odzyskanych.

Po zniknięciu PSL już żadna siła polityczna w Polsce, Kościoła nie wyłączając,

nie miała odwagi choćby na krztę identyfikowania się z Zachodem.

Tak więc, "zachodniość Polski", w którą tak święcie wierzy większość jej obywateli, nie znajduje niemal żadnego echa w profilu polskiej sceny politycznej i to od długiego już czasu, to jest od pojawienia się jej jeszcze pod obcymi zaborami.

Brak ten, niestety, może mieć daleko idące konsekwencje, oczywiście negatywne dla całokształtu stosunków Polski z Zachodem. O ile bowiem stosunki międzypaństwowe Polski z poszczególnymi krajami zachodnimi i ich organizacjami mogą być nawet poprawne, o tyle brak stosunków politycznych, tych pozapaństwowych, może wręcz uniemożliwić głębsze oraz trwalsze związanie się jej z Zachodem.

Zachód, co trzeba podkreślić, to przede wszystkim określona "instytucja wartości moralno-politycznych", o dość sprecyzowanych regułach gry. Dostanie się do zachodniego grona daje i takie wymierne korzyści, jak na przykład "twardy dialog" w razie spraw spornych. Dialog taki w trójkącie Ameryka Północna-Europa Zachodnia-Japonia jest często nawet brutalny, ale zawsze kończy się kompromisem, gdyż "w klubie" nie może dojść do żadnego konfliktu zbrojnego czy innych nieprzyjaznych gestów. Pozostawanie jednak poza takim klubem, jak to ma miejsce w przypadku Polski, nie tylko nie daje żadnych szans na "twardy dialog", jeśli zaszłaby taka potrzeba, ale może nawet spowodować solidarną akcję całego klubu przeciwko outsiderowi.

Ale jak się dostać do takiego klubu, skoro w Polsce nie ma przecież wyraźnie wykrystalizowanych sił politycznych, które pchałyby ją w jego podwoje? Prawda, Moskwa zawsze patrzeć będzie na takie siły nieprzyjaznym okiem, ale z drugiej strony też przecież nie widać ze strony samych Polaków jakichś energicznych i zdecydowanych akcji w tym kierunku. Zachód z kolei może na taką obojętność odpowiedzieć własną obojętnością, zwłaszcza że ma w tej dziedzinie własne i wiadomo jakie tradycje i poglądy.

Dla dopełnienia tego dość smutnego obrazu idźmy jednak dalej.

Chodzi oczywiście o "prowschodnią", albo raczej "promoskiewską" orientację.

Sprawa ta, co tu dużo mówić, jest wstydliva i na ogół większość Polaków woli o niej nie wspominać, ani nawet nie wiedzieć. A szkoda, gdyż jest o czym mówić.

Orientacja promoskiewska ma, niestety, już bardzo długą tradycję a co najgorsze tradycja ta wydaje się ostatno znów odżywać.

Przypomnijmy, że zanim doszło do III rozbioru Polski, to już od Sejmu Niemego w 1717 r. "promoskiewska" orientacja, przywalnej pomocy "zachodnich" Prus, zaszła tak daleko, że ambasador rosyjski był faktycznym monarchą polskim. A kiedy Moskwa (formalnie St. Petersburg, ale ze względu na ciągłość zjawiska pozostajemy przy

Moskwie) zdecydowała skończyć z Polską, to "orientacja" ta, w postaci magnatów Brannickich, Radziwiłłów, Rzewuskich, prymasów i biskupów Podolskich oraz Kossakowskich, czy wreszcie samego króla Stasia, tylko przyklasnęła temu zbrodniczemu dziełu!

Potem "orientacja" miała z kolei wiernych carskich sługusów, różnych Czartoryskich, Roźnieckich czy generałów Krasieńskich. Nawet twórca naszego hymnu narodowego, Józef Wybicki, też stał się wierny carowi.

Jeszcze potem byli Wielkopolscy, książęta Popiele, później Dzierżyńscy, Marchlewscy, Bieruty, Berlingi, Wasilewskie czy Jaruzelscy. W ostatnim stuleciu monopolu na promoskiewską orientację nie miała zresztą tylko lewica, ale i prawica też dorzuciła tutaj swój grosz, jak choćby Roman Dmowski czy Bolesław Piasecki. Polonia też miała prof. Langego i ks. Orlemańskiego.

Innymi przedstawicielami "orientacji" byli wyjątkowo oddani moskiewscy tajni agenci jak Białaszewicze, Zwierzchowscy, Maliccy, książęta Stojałowscy, czy w czasach stalinowskich Karwaccy, Ritter-Jastrzębscy i wielu innych, których nazwisk już może nigdy nie poznamy nawet.

Stąd też, jeśli Polska pozostanie sam na sam ze swoimi "własnymi siłami" często skołowanymi, spenetrowanymi przez Moskwę i w ogóle mającymi nie najlepsze tradycje, to kto wie gdzie ona w końcu wyląduje? Polacy będą może nawet myśleć, że lecają na Zachód, jak przywódcy Podziemia

w marcu 1945 r., podstępnie wsadzeni w samolot przez gen. Iwana Sjerowa, a wylądują właśnie na Wschodzie... I też będą się dziwić tak samo jak dziwili się tamci nieszczęśnicy i naiwniacy!

Cóż więc robić, żeby tak właśnie nie było?

Odpowiedź na takie pytanie, to sprawa następnej serii artykułów, które może ukazać się na łamach Dziennika.

Ale zanim to nastąpi, jeśli w ogóle, to na powyższe pytanie odpowiem możliwie krótko: - wiele, jeśli nie wszystko, zależy od nas samych Polaków. Jeśli nic nie będzie się robić, to niczego nie należy też oczekiwać, albowin raczej nic dobrego.

Zachód sam do Polski nie przyjdzie, gdyż naprawdę może żyć bez niej. Polska natomiast żyć bez Zachodu, zwłaszcza godziwie i dostatnio, nie może i musi robić wszystko co możliwe, żeby jakoś do niego dołączyć.

Inaczej czeka Polskę Wschód, jeśli tylko wyzwoliła się ona z jego uścisku, w co ostatecznie wątpię.

A własnymi siłami, jakąś "trzecią drogą", Polska daleko nie zajdzie. Musi naprawdę chcieć dotrzeć na Zachód, bo na Wschód zawsze się doczłapie, nawet jeśli nie będzie miała zamiaru tego uczynić. Sama droga ją do tego celu poprowadzi i same nogi ją tam poniosą...

Zdzisław M. Rurarz